Wydawnictwa rok VII.
Dnia 21 kwietnia 1929 r.

Nr. 294

Bezpłatny dodatek niedzielny dziennika „Głos Prawdy"

GŁOS PRAWDY

Organ Radykalizmu Polskiego

TYGODNIK

Od Polski Wyzwolonej do Polski Odrodzonej

CO POWIE ZAGRANICA?

NIEDYSKRECJE:

„GŁOS PRAWDY" LITERACKI

Redakcja: Warszawa, ulica Szpitalna 1, telefon 282-54.

NIEDYSKRECJE

DONOŚNY GŁOS SUMIENIA POLSKIEGO, dobyty z najgłębszych pokładów przemyśleń o rzeczywistości naszej przez Marszałka Piłsudskiego poruszył mózgi, układające się już wedle najwygodniejszych systematów i wedle starego nawyku — tak łatwo powraca się w wyjeżdżoną koleinę — do spokojnej drzemki, lub też poddania się tym, którzy w zwyczaju mają robić dużo hałasu koło siebie, dużo krzyku o nic, byle tylko wydać się „ważnymi" i jedynymi do wydawania głosu uprawnionymi. Opozycja sejmowa tak długo i tak szeroko „przekonywała" opinję publiczną o racjonalności i prawdziwości swych sztuczek kuglarskich, że raczyła już uwierzyć, że wszyscy są przekonani. Głos Marszałka Piłsudskiego przypomniał im jednak, że — by wiarę komuś narzucić — trzeba mieć słuszność, sama hałaśliwość i kuglarstwo nie wystarczą. Dawno to już, bo w roku zeszłym, jeden z memorjałów obwiepolskich, kierowanych do największego oboźnego, p. d-ra Głąbińskiego, pisał, że „do dalszej pozytywnej pracy nie mamy żadnych środków, głównie brak nam podstaw natury moralnej. Nie możemy ludzi oszukiwać, gdyż polepszenie się sytuacji w kraju pod względami zasadniczemi, jest aż nadto widoczne dla każdego." Nie od rzeczy będzie tu przytoczyć inny jeszcze ustęp takiego obwiepolskiego uniwersału: „Więź moralna międzyorganizacyjna nie istnieje; brak wiary w celowość dalszego istnienia O. W. P., jako spoidła organizacyj narodowych, dopełnia i dezorganizuje całość życia społeczno-politycznego." Tak życie organizacji narodowej oceniają wewnętrzne raporty. Czy tej rzeczywistości odpowiada stanowisko posłów „narodowych" w parlamencie z pp. Rybarskim, Pierackim i Winiarskim na czele? Jaki tytuł mają oni za sobą dla walki z rządem? Gdzież jest ta siła, która daje im prawo i obowiązek takiego właśnie, a nie innego ustosunkowania się do rządu? Tego wszystkiego niema, — ale jest mała ambicja, ale jest mściwość i złość, że właśnie słabość stała się ich udziałem. Z tej słabości rodzi się chęć rozgrywki w parlamencie, gdy w społeczeństwie oparcie się straciło. Chce się w parlamencie „odbudować" swe znaczenie, gdy się je straciło w narodzie. Podobne znamiona nosi na sobie „działalność" drugiego skrzydła opozycji. I nic dziwnego, że po głosie Marszałka Piłsudskiego dał się słyszeć głos b. szefa rządu, prof. Bartla o metodach pracy, a raczej paraliżowania pracy państwowej przez parlament. Prof. Bartel zbyt blisko przyjrzał się, zbyt dotkliwie czuł na sobie ów proces paraliżowania poczynań rządu, by ustępując swego o tem sądu nie podał do wiadomości, mając na oku— jako szczery demokrata — troskę o odrodzenie parlamentaryzmu polskiego i wejście parlamentu na drogę twórczej, państwowej pracy. Nic dziwnego, że po tym głosie rozległ się trzeci głos marszałka sejmu Daszyńskiego, który w długoletniej pracy nad budową swobód demokratycznych w państwach zaborczych, w państwach, w których ziemie polskie cząstkę stanowiły, w państwach, w których Polaka inna musiała obowiązywać moralność, niż w państwie własnem — wyhodował w sobie marzenie o demokracji i prawach demokracji, do rządzenia przez parlamenty. Ideał parlamentu, świątyni prawa, wzoru pracy obywatela pozostał niestety daleko, zbyt daleko od ulicy Wiejskiej w Warszawie. Marszałek sejmu Daszyński uważa snać, że najgorszy parlament lepszy jest niż żaden. A my mówimy, że Polskę stać na dobry parlament, — nie taki, który oparty jest na stosowaniu złych wzorów innych parlamentów, nie taki, który musi być zły, jako że żaden z parlamentów nie jest bez grzechu. Polskę stać na dobry parlament, jak stać ją było na dobrego żołnierza, ofiarnego obywatela. Ale dobro każde wywalczone być musi wysiłkiem i pracą konsekwentną, o której tak pięknie napisał p. Daszyński w zakończeniu swej broszury o sejmie, rządzie, królu i dyktatorze. Intencji tej pracy i wysiłku woli w obecnym sejmie nawet p. Daszyński mimo całego swego optymizmu paralamentarnego napewno nie dostrzegł. Dlatego głos jego padł tylko w powietrze, nie zawadziwszy o żadną konkretną bryłę rzeczywistości.

* * *

„BURZA NAD AZJĄ" przesuwa się z Chin do Indyj. „Perła korony brytyjskiej", zaludniona przez 300 miljonów stłoczonej i ciężko walczącej o chleb powszedni ludności hinduskiej, nie należała zresztą nigdy do najspokojniejszych krajów Imperjum. Po wojnie europejskiej nacjonalizm poczynił w Indjach poważne postępy. Nauczeni niefortunnem doświadczeniem powstania spahisów, duchowi wnukowie powstańców — współcześni nacjonaliści, zaciekłą swą walkę z anglikami przenieśli na inną płaszczyznę. Miast walki zbrojnej i przelewu krwi, zorganizowali swaradżyści bojkot anglików i—co najboleśniej mogło uderzyć City londyńskie—bojkot wyrobów angielskich. Zmuszeni do poczynienia ustępstw, aglicy obdarzyli Indje w r. 1919 parlamentem, nie rozszerzając jednak zbytnio praw ludności krajowej. Reformy polityczne nie wniosły wszakże uspokojenia. Ruch nacjonalistyczny rósł i potężniał, swaradżyści coraz energiczniej domagać się poczęli praw dla Indyj. Zgodnie ze swą zapowiedzią, rząd londyński rozpoczął przed rokiem prace przygotowawcze do zmiany ustroju, parlament zaś wyłonił specjalną komisję, która pod przewodnictwem członka Izby Gmin Simona przez rok zgórą badała stosunki miejscowe w Indjach, zapoznawała się z życzeniami ludności, wysłuchiwała rad administratorów brytyjskich i samowładnych radżów. Ostateczny wynik prac komisji nie jest jeszcze wiadomy. Jakkolwiek komisja parlamentarna opowie się prawdopodobnie za udzieleniem Indjom autonomji, lub może — jeśli wierzyć dotychczasowym wiadomościom, — za przyznaniem Cesarstwu Indyjskiemu praw dominjum, stosunek swaradżystów do delegowanej z Londynu komisji jest nie mniej wrogi. „Simon, go back!" — „Simon, wynoś się!" — napisy takie figurują na transparentach każdego niemal pochodu nacjonalistycznego. — Jednocześnie krecia robota Moskwy robi swoje. „Dzikie" strajki, wybuchające w portach indyjskich, zamachy kolejowe, walki uliczne, — wszystko to podsycane jest niewątpliwie przez 3-cią Międzynarodówkę. Zarówno, jak i chiński Kuomintang, nacjonalizm indyjski gotów jest jednak do czasu korzystać z pomocy komunistów. Z tego też powodu umiarkowany swaradżysta Patel, przewodniczący indyjskiego parlamentu, sprzeciwił się poddaniu pod obrady izby złożonej przez wice-króla ustawy o bezpieczeństwie publicznem, przewidującej deportowanie oskarżonych o komunizm cudzoziemców. Zamach bombowy w parlamencie w Delhi, dokonany przez „republikańsko-socjalistyczną assocjację", był tylko wodą na młyn angielski Bez osłonek wykazał on niebezpieczeństwo agitacji bolszewickiej, wpływając na umiarkowanych nacjonalistów w kierunku bliższej współpracy z anglikami. Sytuację tę wykorzystał natychmiast wice-król lord Irvin, wprowadzając w życie ustawę antykomunistyczną na mocy swych prerogatyw w drodze dekretalnej. Dało to asumpt prasie moskiewskiej do oskarżenia władz angielskich o umyślne sprowokowanie zamachu celem ła-

twiejszego opanowania sytuacji. Jednakże ostatnia odezwa 3-ciej Międzynarodówki, wydana na 2 tygodnie przed zamachem w Delhi, z treści swej i tonu należy do najbardziej rewolucyjnych i podżegających. Czy i ta odezwa została „sprowokowana" przez anglików? Nie ulega wątpliwości, że sztuczne rozruchy w Indjach wywołane są przez Moskwę, która w ten sposób (właśnie w chwili obecnej, gdy w Rosji bawi delegacja angielskich przemysłowców) pragnie zaszachować Wielką Brytanję i przynaglić Londyn od nawiązania stosunków dyplomatycznych.

CO POWIE ZAGRANICA?

A zagranica? Co powie zagranica? Gdy wszystkie inne argumenty naszych przysięgłych „demokratów" wywołują już tylko kołowaciznę wśród ich umęczonej trzodki, wówczas, niczem zgrani szulerzy, wyciągają z za rękawa ostatni atut — straszaka zagranicznego.

Jak zareaguje opinja świata? Co się stanie z kredytami? Jakie stanowisko zajmą bankierzy, a jakie Druga Międzynarodówka? Co powie Genewa, Paryż, Londyn, New York, Berlin?

Bezsilni we własnym kraju ztamtąd oczekują odsieczy. Powtarza się to systematycznie od przewrotu majowego. Jak wyranżerowane baletnice o fiasku swoich rywalek, tak marzą nasi obrońcy „demokracji" o piorunującej krytyce obozu sanacyjnego na terenie zagranicznym. I zacierają ręce z radości, gdy jakieś pismo na Zachodzie „zrąbie" nas i oskarży o dyktaturę.

Ale, jak wszędzie, i na tem polu spotyka ich stale gorzki zawód. Żaden rząd Polski nie zdobył nigdy większego uznania opinji zagranicznej, niż rząd Marszałka Piłsudskiego. Przewrót majowy był również przewrotem w stosunku tej opinji do Polski. Zaczęto nareszcie pisać o nas poważnie, liczyć się z nami. Stanowisko mocarstwowe Polski wzrosło nagle w sposób niesłychany. Sukces za sukcesem na terenie polityki zagranicznej wieńczyły prace rządów pomajowych. Otrzymaliśmy miejsce w Radzie Ligi, uzyskaliśmy pierwszą większą pożyczkę zagraniczną, zaczęliśmy odgrywać należną nam rolę na terenie polityki międzynarodowej. Z nieśmiałych petentów przeobraziliśmy się w czynnych uczestników rozstrzygnięć europejskich.

I wszystko to stało się wbrew alarmom naszej prawicy i lewicy o rzekomem pognębieniu „demokracji" w Polsce. A tak już krakały żałobnie puszczyki endolewu i groziły nam przekleństwem demokracyj zachodnich.

Mniejsza, że te alarmy miały często wyraźny odcień denuncjacji, że oparte były na sponiewieraniu prawdy i obliczone na wprowadzenie w błąd zagranicy co do istotnego stanu rzeczy w Polsce. Nie osiągnęły one swego celu i z innego powodu, którego zaślepieni obrońcy „demokracji" dotychczas nie są w stanie zrozumieć.

Jest już uświęconą od wieków racją stanu polityki międzynarodowej niewtrącanie się do spraw wewnętrznych poszczególnych państw. Ta racja stanu liczy się tylko z faktami, a nie z hasłami i formułami. Ten czy inny system rządzenia, ten czy inny typ ustroju w państwie jest jego rzeczą własną, a małpowanie obcych wzorów i obcych konstytucyj nigdy nie zdobywa szacunku nazewnątrz. Chodzi tylko o to, by dany ustrój był oparty na mocnych podstawach, a dany rząd był panem sytuacji w kraju. Gwarancje ładu wewnętrznego i pokojowa polityka zewnętrzna są jedynemi warunkami, zdobywającemi w dobie obecnej dla danego państwa najmocniejszą pozycję międzynarodową.

Odrzucamy wszelkie analogje, o ile chodzi o drogi, któremi kroczy dziś Polska i ku pełnemu rozkwitowi swych wartości moralnych i materjalnych, jako jeden z potężnych czynników kultury i pokoju europejskiego.

Lecz weźmy dla ilustracji tezy powyższej Italję Mussoliniego, lub Turcję Kemala Paszy. Któż zaprzeczy, że oba te państwa przez dyktaturę doszły do wzmocnienia swego stanowiska mocarstwowego, nie dlatego, iż ich system rządzenia jest przykładem godnym naśladowania gdzieindziej, lecz dlatego, że wydźwignął on je z upadku i anarchji.

Opinja publiczna parlamentarnej Anglji i demokratycznej Ameryki odżegnywa się na samą myśl o faszyźmie. I cóż z tego? Czy pogorszyły się przez to stosunki anglo - włoskie lub włosko - amerykańskie. Wręcz przeciwnie. Węzły przyjaźni pomiędzy Anglją a Italją zostały jeszcze bardziej zacieśnione. Chamberlain jest częstym gościem Mussoliniego, a angielscy mężowie stanu, konserwatyści, czy liberałowie, którzy odwiedzają Italję, są pełni podziwu dla ogromu pracy państwowo - twórczej, dokonanej pod hasłem faszyzmu. W tym duchu wypowiedział się zarówno Churchill, jak i Lloyd George. Nawet socjalista Bernard Shaw nie poskąpił gorących pochwał Mussoliniemu. To, co byłoby nie do pomyślenia w Anglji, okazało się zbawiennem dla Italji. Przykładów podobnych, stwierdzających jaknajlepsze stosunki pomiędzy narodami i państwami, pomimo różnic ich ustrojów i systemów rządzenia, można byłoby przytoczyć mnóstwo. Stało się to już truizmem politycznym, o którym się nie mówi, jest on bowiem tak oczywisty.

Niepowołani szermierze pognębionej „demokracji" mogą więc spać spokojnie i nie troszczyć się o to, co powie zagranica. Jest ona już tak dobrze zorjentowana co do prawdziwego stanu rzeczy u nas, że opinji jej nie wprowadzą w błąd ich insynuacje i alarmy. A nas niech lepiej tą zagranicą nie straszą, bo zdradzają tem tylko ubóstwo swych argumentów i przeraźliwą pustkę wewnętrzną.

SPROSTOWANIE

W numerze 293 tygodnika „Głos Prawdy" na str. 244 wkradł się błąd zecerski do wstępu do artykułu p. t. „Jak walczyć z nieszczęśliwemi wypadkami". Zamiast „Ze swej strony zaprzeczamy" powinno być „zaznaczamy".

JESZCZE O WOJNIE

Sprawa wojny celnej z Niemcami, naszych z niemi pertraktacyj co chwila wraca na łamy prasy gospodarczej. Nie można powiedzieć, abyśmy jak dotąd byli z wyników jej niezadowoleni. Owszem, zarówno w sferach gospodarczych, jak w kołach rządowych, a i w szerokiej opinji publicznej ustaliło się mniemanie, że wbrew przypuszczeniom niemieckim, wyszliśmy z niej zwycięsko, wzmocniliśmy nasz organizm gospodarczy, nawiązaliśmy stosunki z szerokim światem, nabraliśmy pewności siebie i ufności we własne siły, które pozwalają nam coraz mocniej i coraz bardziej stanowczo formułować swe postulaty. Niemniej jednak zapoznanie się z tą sprawą jest ze wszechmiar pożyteczną rzeczą, to też książkę zagadnieniu temu poświęconą należy powitać z radością i uznaniem. A książka inż. Aleksandra Ringmana*) należy istotnie do bardzo źródłowo i sumiennie opracowanych, posiada pozatem śmiałość ujęcia i przemyślany konsekwentnie kościec.

Autor sięga do czasów przedwojennych i stamtąd wywodzi podstawy polityki gospodarczej niemieckiej w stosunku do Polski. Polegała ona na niedopuszczeniu do rozwoju naszego przemysłu, który traktowano w Niemczech jako konkurencyjny, jako politycznie niebezpieczny. Czasy wielkiej wojny jeszcze mocniej podkreśliły tę tendencję. Niszczenie przemysłu, wywożenie maszyn i surowców z Polski projekty przykrawania naszych granic — wszystko to najwyraźniej świadczy o tem, że według planów niemieckich nawet po odzyskaniu politycznem niepodległości mieliśmy pozostać gospodarczo jedną z prowincyj Rzeszy, co paraliżowałoby nietylko nasze życie ekonomiczne, ale uczyniłoby nas organizmem niezdolnym do stawiania jakiegokolwiek oporu wobec potężnego sąsiada z zachodu.

Ta tendencja przyświecała Niemcom i istotnie mogła przyświecać. Niemcy istotnie zdołały w znacznej mierze opanować nasze życie gospodarcze. Jest rzeczą niezmiernie ciekawą; że dostarczały one nam nie tylko wyrobów swojego przemysłu, ale literalnie wszystkiego. 75% przywozu z Niemiec stanowiły przedmioty bezpośredniej konsumcji. W roku dajmy nato 1925 przywieziono do nas z Niemiec przeszło szesnaście tysięcy tonn ryżu, gdy z innych krajów wszystkich razem wzięliśmy tego produktu tylko 67 tonn. Sery szwajcarskie i holenderskie dostawaliśmy w największej części przez Niemcy. To samo się działo z pomarańczami, cytrynami i t. d. Niemcy byli naszym najważniejszym dostawcą, pośrednikiem pomiędzy nami a światem. Otóż wojna celna zmieniła cośkolwiek tę sytuację. Autor cytuje tu niezmiernie ciekawą tabliczkę, którą powtórzymy za nim. Oto jak wygląda przywóz do nas towarów kolonjalnych z Niemiec:

*) Inż. Aleksander Ringman „Polsko - Niemieckie stosunki gospodarcze na tle wojny celnej", Warszawa 1929. Nakładem Autora str. 123. W tekście tablice i wykresy.

	1925 w tonnach		1926
	I-e półr.	II-e półr.	I-e półr.
cytryny	1 116	317	75
pomarańcze i mandarynki	3.685	15	37
śliwki suszone	1.719	68	20
rodzynki.	187	35	0,7
pieprz.	164	5	0,7
herbata	126	45	1
kakao.	725	87	26
kawa surowa	821	110	40
ryż w łuszcz.	16.480	6.863	111
tytoń	356	149	52

Walka tedy toczyła się nie o normalne stosunki sąsiedzkie, ale o daleko idącą supremację z jednej strony, z drugiej zaś o sparaźlizowanie naszego rodzimego przemysłu. Przeświecały zaś temu wszystkiemu tendencje polityczne. Tych ostatnich możemy nie poruszać. Wskazuje na nie Autor, ale pobieżnie pozostając przez cały czas na płaszczyźnie zjawisk gospodarczych.

P. Ringman przeprowadza niezmiernie ciekawą analizę naszych stosunków handlowych z Niemcami, rozważając wpływ wojny celnej na wymianę i zwraca uwagę, że istotnie umiejszył się nasz handel tylko w dziedzinie tej, gdzie Niemcy występowały w roli pośrednika. Dla nas stanowią one istotnie poważny rynek dla niektórych produktów hodowlanych. Tu dojście do porozumienia istotnie może nam przynieść pewne korzyści, jakkolwiek nie można korzyści tych przeceniać.

Ad. Uz.

MNIEJSZOŚCI WE FRANCJI

(Korespondencja własna „Głosu Prawdy")

PARYŻ, w kwietniu.

„Tak jak ryba wody, a anglosas komfortu, tak francuz potrzebuje prawa". Uwagę tę wypowiedział niedawno senator de Monzie, z okazji zresztą zupełnie drugorzędnej. Podkreślić wszakże należy tę wybitną cechę umysłu francuskiego — tak niesłusznie pomawianego o lekkomyślność — ujmowania wszelkich zjawisk w ramy prawne, generalizacji, uogólniania wszystkich spostrzeżeń.

Można więc było spodziewać się, że propozycja polska zgody na inowacje w sprawach mniejszościowych jedynie pod warunkiem generalizacji zobowiązań mniejszościowych, rozciągnięcia ich mocy prawnej na wszystkich członków Ligi Narodów, znajdzie w opinji francuskiej przyjęcie zgodne conajmniej z logiką, jeżeli już nie z hasłami równości państw. Wielu widziało w tej propozycji gest czysto platoniczny. Państwa zachodu posiadają opinię państw tak jednolitych narodowo, że sama myśl rozciągnięcia traktatu mniejszościowego np. na Francję wydawać się mogla bluźnierstwem.

Nieraz słyszało się twierdzenie, że francuzom dlatego tak trudno jest zrozumieć polski punkt widzenia, ponieważ nie posiadają żadnej mniejszości, a pojęcie przynależności państwowej, pokrywa się u nich całkowicie z pojęciem narodowości.

Sama myśl generalizacji zobowiązań wywołała u przeciętnego, typowego francuza conajwyżej wzruszenie ramion. Jest on tak głęboko przekonany, iż Francję zamieszkują tylko francuzi, że jakakolwiek kampania mniejszościowa jest mu obojętna. Wiadomo mu coprawda, że istnieją bretoni, alzatczycy, baskowie, korsykanie; na wszelkie wszakże uwagi w tym kierunku odpowiada z niewzruszonem przekonaniem:

— To są przedewszystkiem francuzi.

Oficjalnie zaś rząd paryski przyznaje wprawdzie istnienie pewnych odrębności językowych czy kulturalnych, ale wszelkie tendencje w tym kierunku określa mianem regjonalizmu. Co za wrzawa podniosłaby się, gdyby tak rząd nasz oświadczył, że białorusini to nie mniejszość narodowa, lecz grupa regjonalna?!

W rzeczywistości Francja posiada zupełnie zdeklarowane mniejszości, które co do poczucia ich odrębności etnicznej bynajmniej nie ustępują mniejszościom „patentowanym". Mimo to niezaprzeczalna hegemonja kultury francuskiej pokrywa wszystko.

Autonomizm alzacki jest oczywiście najcięższym orzechem do zgryzienia. Statystyka urzędowa z r. 1926 podaje, że w odzyskanych departamentach Alzacji i Lotaryngji mieszka:

1,289,834 alzatczyków, t. zn. takich, których językiem potocznym nie jest ani francuski, ani niemiecki, lecz **elsässerditsch**, następnie 257,657 francuzów i 81,471 niemców

Ilość niemców byłaby więc znikoma, gdyby nie to, że pochodzenie i język owych alzatczyków, jak na to wskazuje wykoszlawiona końcówka **ditch**, oraz narodowość posłów, wysyłanych do parlamentu paryskiego, są germańskie. Statystyka jednak w wielu wypadkach niczego nie dowodzi Lepiej zilustruje omawiane stosunki przemówienie premiera Poincaré'go, wygłoszone w czasie pamiętnej debaty mniejszościowej w izbie deputowanych, które przytaczamy według stenogramu urzędowego, przedrukowanego przez „Le Temps", nr. 24639:

„We wrześniu 1927 r. „Die Zukunft", organ autonomistów alzackich, opublikowała manifest nowej partji autonomistycznej. Czytamy w nim co następuje (mówił premjer): „Żądamy narazie autonomji. Nie zapominamy jednak, że ostatecznym celem partji jest zupełna niepodległość Alzacji w łonie przyszłych Stanów Zjednoczonych Europy Językiem urzędowym ma być niemiecki francuski zaś będzie nauczany w szkołach jako język obcy." (okrzyki protestu na ławach deputowanych)

Pan Poincaré ciągnie dalej:

„W koncepcji państwowej francuskiej nie ma i nie może być miejsca na problem mniejszości. Zaznaczyć jednak muszę fakt nowy: Na ostatnim kongresie mniejszości narodowych w Genewie było dwóch francuzów: bretończyk p Duhamel i alzatczyk p. Dahlet. Mam podstawy do twierdzenia, że miejsce narodzin separatyzmu bretońskiego, podobnie jak i autonomizmu alzackiego, znajduje się z drugiej strony Renu. Na zgromadzenie konstytucyjne autonomistów alzackich w Strassbourgu w 1927 r. nadeszły telegramy ze słowami zachęty od partyj separatystycznych bretońskiej i korsykańskiej. W tym samym czasie odbywało się w Rosporden w Bretanji, zgromadzenie konstytucyjne mniejszości rasy celtyckiej, na które przybyli delegaci z Irlandji i Walji.

„W kwietniu 1928 r. powstał Komitet mniejszości narodowych we Francji, złożony z przedstawicieli alzatczyków, bretonów, korsykan i flamandów z pogranicza belgijskiego.

„W czasie procesu przeciwko autonomistom w Colmar'ze, organ mniejszości bretońskiej, redagowany w języku **gaëllic**, (tym samym, który Irlandja pragnie zaprowadzić jako urzędowy), „Breiz Atoou", coznaczy „Bretagne avant tout", „Bretanja przedewszystkiem", pisał: — Francja jest zlepkiem narodów, różniących się zarówno obyczajami, jak językiem lub uczuciem. Na francuzów składają się: celtowie, romanie, germanie, katalanie i iberowie."

W tem przemówieniu premjera uderza przedewszystkiem podkreślenie współrzędności separatyzmu bretońskiego i irredenty alzackiej. Bretoni zepchnięci na skrajny zachód Europy, potomkowie potężnych ongiś celtów, liczą dziś jeszcze 1,200,000 głów. Przywódcy bretońscy chętnie porównują położenie Bretanji z... Litwą. Tak jak Polska Litwę, tak Francja odcięła Bretanię od bezpośredniej styczności z Europą. Podobnie jak Litwa złączyła się z Polską przez małżeństwo, tak i Bretanja unię swą z Francią w 1532 r. zawdzięcza ślubom małżeńskim swej królowej.

Poza mniejszościami wymienionemi w przemówieniu, istnieją jeszcze regjonaliści prowansalscy i baskowie. Prowansalczycy posiadają bogatą literaturę w języku zgoła odmiennym od francuskiego W języku tym tworzył słynny poeta Mistral. Nie jest to jakiś żargon, lecz język stary i bogaty, coś pośredniego między łaciną, hispano-katalańskim i **langue d'oc**. Niedawno z okazji odsłonięcia pomnika Mistrala, prasa przypominała, że przed wojną, za jego życia, starała się go pozyskać propaganda niemiecka dla wywołania dywersji na południu.

Najciekawszą mniejszością we Francji są bezsprzecznie baskowie, osiedleni po obu stronach Pirenejów w liczbie 800.000. Jedyny lud w Europie, którego pochodzenia uczeni nie zdołali dotąd wyjaśnić. Przypuszczają jedynie, że są to potomkowie plemienia, które zamieszkiwało tajemniczo zaginięty kontynent Atlantydy. Język ich nie posiada żadnego pokrewieństwa w gramatyce porównawczej narodów. Jedynie niektóre wyrazy w dziwny sposób przypominają język Azteków przed odkryciem Meksyku. Baskowie, silnej budowy ciała, zamknięci w sobie, o rysach, jakie posiadają wyłącznie posągi, rzeźbione w drzewie, uchodzą w Paryżu za najpiękniejszy typ mężczyzny. Autonomizm baskijski dopiero w ostatnich czasach zaczyna przybierać szersze rozmiary skutkiem powstania warstwy inteligencji.

Mimo wszystko, problemu mniejszości narodowych we Francji nie można brać poważnie Nie takie to trudności przemógł genjusz francuski w średniowieczu, asymilując różnych rasowo normandów, pikardów, gaskonów i burgundów. Niemniej jednak, tym

wszystkim politykom francuskim, którym nie daje spać los mniejszości w Polsce, a przedewszystkiem redakcji „La Volonté", organowi p. Caillaux, jedynego dziennika francuskiego, który zaatakował p. Brianda za poparcie stanowiska p. Zaleskiego w Genewie, mamy prawo odpowiedzieć: — **„Medice, cura te ipsum".**

Krzemień.

KRONIKA MUZYCZNA

Słynne salzburskie festiwale muzyczne odbędą się w tym roku w sierpniu. Program zapowiada Don Juana Mozarta, i „Rosenkawaliera" Ryszarda Straussa w nowej inscenizacji oraz powtórzenie „Fidelia" Beethovena. Dyrygować będą Clemens Krauss (obecny dyrektor wiedeńskiej opery) i Franz Schalk. Oprócz tego odbędzie się 8 koncertów orkiestry filharmonji wiedeńskiej.

* * *

Dla uczczenia pamięci Klaudjusza Debussy, we Francji stawiają wielkiemu kompozytorowi dwa pomniki: jeden w jego rodzinnem mieście Saint Germain en Laye, dłuta Bourdella, i drugi w Paryżu — braci Martel. Ażeby zebrać odpowiednie kapitały, jak wiadomo, urządzono koncerty nawet zagranicą. Projektowany u nas koncert na ten cel, nie doszedł do skutku.

* * *

Prasa pochlebnie się odzywa o drugim koncercie fortepianowym Aleksandra Tansmana. Kompozytor sam go odegrał na jednym z koncertów „Pasdeloups", polski ludowy pierwiastek odgrywa dużą rolę, szczególnie w Scherzu.

* * *

W Londynie „Hewith - Kwartet" odegrał utwór Tadeusza Jareckiego.

* * *

W dniu 25 marca r. b. odbył się w sali Chopina (Maison Playel) czwarty w tym sezonie koncert Stowarzyszenia Młodych Muzyków Polaków w Paryżu. Udział brali pianista, p. Zbigniew Drzewiecki i włoska śpiewaczka, Marja Castelarri. W koncercie wzięli udział kompozytorowie polscy: A. Tansman i T. Szeligowski, których pieśni (w pierwszem wykonaniu) cieszyły się dużem powodzeniem.

* * *

W sali Chopina w Maison Playel, koncertował członek orkiestry warszawskiej Filharmonji, p. Fliederbaum. Prasa odzywa się o grze naszego skrzypka z wielkiemi pochwalami.

* * *

W tych dniach powstała w Warszawie instytucja społeczno - kulturalna, pod nazwą „Kasa im. Henryka Melcera", której celem będzie krzewienie kultury muzycznej wśród najszerszych warstw naszego społeczeństwa, oraz pomoc muzykom polskim. Nadzór nad działalnością K. H. M., powierzony jest „Radzie Naukowej", do której należą: Ignacy Paderewski, jako protektor Kasy, oraz pp.: prof. Piotr Maszyński, prezes, prof. Stanisław Niewiadomski, zastępca prezesa, radca Ministerjum W. R. i O. P., Janusz Mikettą, sekretarz i w charakterze członków Rady Naukowej: dr. Adolf Chybiński, prof. dziekan Uniw. we Lwowie, Leopold bar. Kronenberg, dr. Zdzisław Jachimecki, prof. Uniw. Jagiellońskiego w Krakowie, Henryk Opieński (Morges, Szwajcarja), dr. Lucjan Kamieński, prof. Uniwersytetu w Poznaniu, Karol Szymanowski, dyr. Państwowego Konserwatorjum Muzycznego w Warszawie, oraz Kazimierz Sikorski, prof. Państwowego Konserwatorjum Muzycznego w Warszawie.

Kierownictwo Kasy należy do Komitetu, składającego się z prezydjum, do którego wybrani zostali pp.: Emil Młynarski, jako prezes, Ludomir Różycki, jako zastępca prezesa, Roman Chojnacki, jako sekretarz i Stefan Benzef, jako skarbnik.

St. Z.

„GŁOS PRAWDY" LITERACKI

POD REDAKCJĄ J. KADEN-BANDROWSKIEGO

Z WYPRAWY WILEŃSKIEJ

Na stacji nic nikogo nie obchodzi, każdy zajęty jest tylko sobą. Jasna rzecz, że to jakiś gwałtowny wymarsz. Nikt dla nikogo niema czasu, wszyscy klną...

Gdzie komendant dworca?

Urzędnicy kolejowi pokazują, zapewne po raz tysięczny tego wieczora, tę stronę stacji usianą światełkami, gdzie ma być komendant. Idę tam, po drodze spotykam ułanów, którzy wloką siodła. Strzemiona i sprzączki dzwonią po bruku. Kawalerzyści, omotani w uprząż klną straszliwie.

Z mgły i przekleństw wylania się niespodzianie komendant dworca. Poznać gobardzo łatwo po trzech oficerach i kilku podoficerach meldujących i domagających się czegoś nieustępliwie.

Udziela mi informacji, a przeplata je wciąż numerami pociągów, transportów, oddziałów i baterji.

Proszę pana, — mówi, — co się będę chwalił, no nie? My stara wiara, okryta ranami, nie dla chwały się to robi... Ale pan sam rozumie, — dwadzieścia

pięć transportów dziennie!... A do tego żołnierz nasz nie umie się jeszcze wagonować. Ten pośpiech, panie kolego, ten straszny pośpiech!... Ułani dopiero w Ostrowiu spotkali się ze swymi siodłami! Piechota dopiero tu, na stacji, dostawała karabiny!... Dotąd pałkami się gimnastykowali!... Proszę pana, ten rekrut nie wie jeszcze, co się robi z ręcznym granatem!! Czy to się bierze w zęby i pali, jak cygaro, czy to trzeba na lufę nasadzić i wystrzelić!... Menażek nawet nie mają! Czort znajet!... Zamiast menażek miednice noszą pod tornistrami na siedzeniach! Patrz pan na nich z tyłu, każdy pełnią świeci...

— — — — — — — — — —

Koło dwunastej w południe przyjechał samochodem Komendant Piłsudski...

Wyskoczył z wozu. W szarym wojskowym płaszczu, naprzód pochylony, idzie ku nam.

Przed nami las szumiący, za nami pociąg, nad wszystkim niebo ciężkie stropione, karetka samochodu pyka u podjazdu, wzdłuż rampy wysztyftowany pluton skautów, którzy stanowią osłonę Naczelnego Wodza. Chłopaki broń prezentują, my z boku wyciągnięci, jak struny, tylko wiatr poły płaszczów odwiewa, — Komendant przyjmuje raport.

— Daj spokój, — powiada mi szeptem kolega, — to tak, jak na Elbie...

— Na jakiej Elbie?

— Że niby tego owego, nic, wojska mało, jeden plutonik, kupka oficerów — a potem dopiero ze sztychu wynika, że to była strasznie ważna historja... Naprzykład powrót Napoleona do Francji...

— To zrób sztych, — odpowiadam.

Teraz już jedziemy.

— — — — — — — — — —

Ciągle mijamy długie transporty wojsk. Wagony, jak ciężkie ptaki, robią na wietrze czarnymi skrzydłami sośniny, z uchylonych drzwi wozów bucha śpiew młodych rekrutów, a w różowych spoconych kłębach jednookiej lokomotywy, rzekłbyś sama krew kipi... Albo wyprzedzamy długie, tak ciche, iż zda się, zadumane pociągi artylerji. Armaty węszą przestrzeń w górę zadartymi lufami, koło których niby skrawki nocy, chwieją się czarni kanonierzy.

— — — — — — — — — —

Dnia 16-go kwietnia rozpoczął się gorący bój na całym froncie! Dziś atakujemy ostatecznie Baranowicze, dziś mamy uderzyć na Nowogródek i Lidę... Dziś odczepia się od frontu, zwróconego ku wschodowi, grupa kawalerji pod Beliną, piechota generała Śmigłego i suną razem szybko na północ.

Marsz ten jest ryzykiem ogromnym. Mogą być wzięci we dwa ognie, od wschodu i od zachodu... Lecz jeśli się uda, — to zdobędą Wilno, odcinając tyły wojskom bolszewickim, które stoją na zachód od linji miasta.

Przed chałupami dogasają ogniska, konie zebrane w wielką, przy pyskach więtą rozetę, depcą po placu. Rzekłbyś, — całą miejscowość dreszcz wstrząsa, tak dźwięczą szable i ostrogi w wszystkich kątach i zaułkach. Ułani majstrują jeszcze przy uprzęży, a w chromych wrotach pod strzechą, tak niziutką, że poszycie jej czapki żołnierzy głaska, stoi na czele gromady oficerskiej Belina.

Naczelny Wódz pogania pułkownika. — Prędzej, prędzej, już godzinę temu powinniśmy byli przejść rzekę...

Niebo szare i mętne przynosi, aż tu huk dział od strony Baranowicz.

Tam się już biją na dobre!

Piłsudski stoi przy moście, — pułki już siadły na koń, zaraz ruszają.

Na dole wązkim, szarym meandrem srebrzy się rzeka przez rude mchy, — w górze nad nami bekas się wywrócił w powietrzu i odleciał...

Już jadą!

Jadą ułany, co się od lat tłuką na koniach, przybyłe z rozbitych, umarłych regimentów różnych cesarzy strąconych, zbratane teraz oto w nowe polskie pułki... Ciepło bucha od tych szeregów, skóry uprzęży chrzęszczą, niby zwoje jakiegoś drapieżnika, podkowy głuchym gradem biją o most, głowy skręcone w stronę Wodza, — dołem po rzece płynie wiosna poranka, górą po niebie toczy się jęk kanonady. Mijają plutony za plutonami, szwadrony za szwadronami czerwone bufy ułanów, siwe rajtuzy leguńskie, na szablach kaukazkie srebro, albo pruskie gardy, albo plecionka austrjacka. Cześć żołnierska grubymi paluchami przykłada się do daszków czapek, — dywizjon za dywizjonem falujący, poddaje się w kłusie humorom konia.

— Niech żyje Komendant, — wołają ogorzałe szóstki ułanów, aż żyły czarne prężą się im na skroniach i szyjach.

I mijają w okrzyku tym, niby w gromkim obłoku sławy wojennej. Widać ich jeszcze na piaszczystym przegonie, a potem już zamknęły się za nimi rzędy brzóz. Nie słychać łomotu kopyt, tylko się okrzyk jeszcze śród mgieł przewraca, pomieszany z biciem dział od strony Lidy i Baranowicz.

— — — — — — — — — —

Słucham z rozkoszą wielkiej bitwy. Od południa dochodzi, aż tu jęk dział grupy Szeptyckiego, słychać wyraźnie straszliwe, równe śmiechy karabinów maszynowych z Lidy... A blizko, wyraźnie już dochodzi, aż tu, potworna czkawka naszych haubic, strzelających na skraju lasu przed Zapolem.

Po drodze coraz częściej pojawiają się ranni. Krew przesiąka przez białe bandaże i kapie na glinę.

— Z którego pułku?

— Z czwartego legjonowego.

— No i co, — do ciężkiej cholery?

Śmieją się spiekłemi wargami. — Wzięliby my tego pancernika, ale że nas zamało!

Opowiadają o dwóch pociągach pancernych „które se jeżdżą po torze przed Lidą, tam i nazad i dostąpić do siebie nie dają".

— Myśmy myśleli z początku, że tam żydy siedzą. Jakieścić czarne, w długich kabatach, — a to matrosy złodzieje...

Nagle huk się rozległ olbrzymi, huk od którego chyba cały front mógłby zamrzeć. To właśnie kapitan Domański ze swoją baterją wyrżnął w wagon pyroksyliny i zniszczył pociąg pancerny.

— — — — — — — — — —

Nasza artylerja bije z przedmieść do nieprzyjaciela, szwadrony gonią go, piechota od rana rozpiera się w domach, wozy huczą gromko, — jesteśmy w Lidzie... Małe, jednopiętrowe miasto, poprzerywane parkanami. Na ulicach, w zaułkach, leżą jeszcze truy naszych i nieprzyjacielskich żołnierzy. Dzień jest szary, wietrzny, czasem łyśnie biały promień słońca, to znów upada.

Ulicami maszeruje piechota, rekruty tłuką stopami o bruk, aż strach bierze, jakie twarde wojaki!... Orkiestra któregoś pułku wyczynia coś dziwnego na pordzewiałych trąbach, w których osobliwie starczo drży młody dech trębaczy. Jadą też nasze artylerje i nasze tabory. Całe nasze bogactwo wojenne wznieca marsowy hałas wśród koślawych uliczek.

Ludność czepia się oddziałów, wozów, koni, nieśmiało, lękliwie, niemal nabożnie...

Nikt jeszcze nie widział takiej ludności... Gada ona śpiewnym narzeczem, polskimi słowami, jak może inkrustuje tę ciągliwą, kresową swą mowę... A wygląda, — jakby wykrojona z woskowego płótna. Takie to pomarszczone, zleżałe, głodne...

Pod kościołem, którego białe ściany gnębi ochrypły głos zaziębionych organów, gromady przeróżnych matadorów miejscowych obstępują oficerstwo. Wielkie świadczenie honorów, dworskie szurganie dziurawych podeszew po bruku, polonezowy wyrzut łokcia w szanownym rozmachu i że, — gdybyście panowie tu nie przyszli, toby się już wnet zrobił koniec świata... A tymczasem przyszło swoje wojsko, — Polskie Wojsko na święta Wielkiej Nocy...

Tak rzecze łyk, ten, ów i tamten i znów nie wie, co więcej ma powiedzieć w tej niesłychanej radości, oddech i głos przerywającej.

Nagle rumor się robi między łatanymi kapotami, z pośród których przeciska się prosto ku nam, na wysokich, pogiętych butach, bronzowa katana, nakryta maciejówką, wspartą o wielkie białe uszy...

— Ja tu jestem, proszę panów oficerów, — mówi starowina, uchyliwszy czapki, — ostatni powstaniec 1863 roku, pułkownik...

— — — — — — — — — —

Wiadomości nadchodzące z Wilna nikomu nie dają spokoju! Ułani wpadli do miasta i biją się. Coś niezwykłego wyprawia się w każdym sercu żołnierskim. Mam uparte, może dziecinne wrażenie, jakbyśmy tym starym murom, sławnym miejscom, jakbyśmy samemu Mickiewiczowi dziękowali! teraz tak poprostu i dzielnie za cały ronamtyzm. Za wszystkie strofki, za dźwięk wszystkich słów, które na wieki kołyszą czarem te miejsca, móc odpowiedzieć zwycięstwem!

Już pojechała podpierać kawalerję w Wilnie piechota Śmigłego. Pojechała rosyjskim wojskowym pociągiem, który ze stacji wileńskiej odesłał major Brzozowski... Parę godzin temu siedzieli w tych wagonach bolszewicy, którzy szli z odsieczą pod Lidę.

Ułani wloką armaty po ulicach i strzelają z nich na sto kroków. Obrona bardzo zażarta. Ludność polska przystała do wojska. Przez Ostrą Bramę wpadł na czele konnych szwoleżerów major Dreszer, major Zaruski z bagnetem w ręku sunie ulicą Dominikańską.

Bitwa na fali burzliwej wynosi słodkie, bolesne nazwy miejsc, gmachów, o których się czytało na tylu stronicach polskiego romantyzmu. Jakieś ognie biją w skroń, niewysłowiona radość kwili w piersiach, że oto miejsce pokuty i żalu staje się nazwą nowej sławy.

— — — — — — — — — —

Wieczór zapada, czerwony mrok przenika drogi i lasy, szum gęstych sosen płynie niewstrzymanym głosem...

Zajeżdża pociąg. Z okien wychylają się nasi żołnierze — koło lokomotywy karabiny maszynowe. Wszystkie przedziały tętnią orężem. Na szerokich rosyjskich wozach wypisane pośpiesznie kredą:—Pierwszy pociąg polski z Warszawy do Wilna!

Piłsudski stoi w drzwiach wagonu. Twarz jego objęta jest zorzą walki, policzki płoną gęstym rumieńcem, natężone źrenice straciły swój łagodny kolor,— biją rzęsistym światłem.

Postój. Na coś się jeszcze czeka. Naczelny Wódz wyskoczył zwinnie z wagonu i wraz wysypuje się za nim z pociągu pluton młodych żołnierzy — skautów. To jest właśnie osłona Dowódcy.

Nic piękniejszego, jak w ciemnych, aż bronzowych skłonach zachodu ów wielki lew, za którym, niby gromadka bujnych szczeniąt, bieży i zagania sprawny pluton skautów.

— — — — — — — — — —

Po południu, w drugie święto Wielkiej Nocy jedziemy do Wilna. Mijam transport rannych i jakieś plutony cywilów, — którzy przy torze wartę sprawują, widać już z daleka wyniosłe czoło „Polskich Aten", widać coraz wyraźniej żłobiny ulic i pałaców...

Teraz przedmieścia... Wszyscy oficerowie przy oknach. Piłsudski w płaszczu, w czapce i rękawiczkach, jakby w tej chwili zeskoczyć miał z wagonu. Dziecinna pycha ogarnia żołnierzy: tę wielką stację, (bo już echa naszego pociągu łomocą wśród zabudowań), te szyny, te sapiące lokomotywy, te wszystkie bloki i zwrotnice i tyle kościołów i tyle domów — to wszystko wziął nasz oręż.

Wjeżdżamy na dworzec, orkiestra gra „Jeszcze Polska nie zginęła". Czarno od ludzi, wstrzymanych szarą, prostą sztabą kompanji honorowej. Na skrzydle panowie oficerowie z generałem Śmigłym na czele. Oficery przysięgłe, wypróbowane w tysiącu ogni, w tysiącu przebojów... Stoją, jak mur, tylko szczęki bractwo to silnie zwiera, żeby nie dać poznać po sobie wzruszenia, nie dać poznać tej szalonej radości, jaka rozsadza piersi.

Oto ci, najlepsi uczniowie, którzy przyjęli z Litwy wielkiego mistrza walki i terminowali u niego w Polsce przez długi czas bezsławnych lat, lat krwawych, powracają mu miasto jego młodości zdobyte młodym orężem.

Ponad tłumem unoszą się w górę ręce powitania, a gdy Naczelny Wódz wysiadł z wozu, — jakby całej tej rzeszy ogromnej dech w piersiach zaparło. Na sekundę, na jeden błysk rozpięła się zdumiona cisza, a wzniesione ręce powitania zakrzepły w bezruchu niewiary w rzeczywistość tego spotkania...

Nagle tłum skruszył się, ścisnął, podebrał i jednem rzutem otoczył Dowódcę.

Jakiś dygnitarz miejscowy w wyszarzałym futerku zaczął ubożuchną w słowa, przejętą łzami mowę powitalną, którą raz w raz przerywały rzucane z głębi kwiaty... Z rodziną Piłsudskiego cały tłum wtargnął między rzędy oficerów i żołnierzy, — jakby tu wszyscy na tym dworcu byli jedną wielką, dotąd rozłączona, teraz odzyskaną rodziną...

Ludzie nie wiedzieli, jak mają gościć, i jak mają podejmować wojsko... Więc obstępując gromadą, głaskali szare mundury po ramionach, rękawach, ruchem pełnym nieopowiedzianej dobroci i troski...

Eskortowały Wodza zwycięskie pułki jazdy, szwoleżerów, ułanów i liczna świta...

A gdy o zmroku, w klasku kopyt, w płaczu i krzykach tłumu, w chrzęście oręża, zamajaczyła sroga postać dowódcy pod Ostrobramskim łukiem, — zdać się mogło, iż ożywa jakaś druga strona starych ryngrafów, na których, pod świętą opieką, do oblężonego grodu wjeżdża wódz polski, z orszakiem mężnego rycerstwa...

Juljusz Kaden-Bandrowski.

WIOSNA

Szumcie listeczki leszczyny. Śpiewaniem głoście się ptaki.
W płynne oploty gałęzi mknij lekko, usłużny wietrze.
Kręćcie się białe obłoczki. Kołujcie śmigi wiatraków.
Na żarnach wiosny pogodnych ból każdy dzisiaj się zetrze.

I ty promienne, skrzydlate, świeć, słońce, płomieniej żarem,
i chlebne kłosy ziarniste nalewaj mlekiem i miodem,
i raźnym listkom leszczyny siej światło niebios bezmiarem,
gibkość i siłę daj rześką polotnym sarenkom młodym.

Głoś się, szumiąca leszczyno, radosnem ptaków śpiewaniem.
W poklaskach wieść się wesela, szmerliwa strugo ponika.
Pląsem się wijcie tanecznym, zielonych zbóż falowania.
Pracownym pługom i ludziom życzliwa, chętna muzyko.

Pal się, ognisko ogromne, otrząsaj deszcze promieni,
przebiegaj łukiem po niebie, i spinaj dwa horyzonty,
i w ziemi, w dole leżącej, zielenią wezbranej ziemi,
pod twórczy dynamit życia podkładaj płonące lonty.

DOJRZAŁOŚĆ

W dyszących łanach tatarek soczysta spala się źrałość.
Sypią brzozowe witki melodyj pachnące kwiecie.
Ze szczytu nieba się zlewa słońca słoneczna dojrzałość.
Słodką miłości wiedzą szumi radośnie życie.

Śmigiem pienistych strumieni spływają wody w doliny.
Drżą rześko stopy wiersza w błękitnych pomierzchach zwrotek.
Obłęd rozkoszny rozchyla płomienne wargi dziewczyny.
Świat pełni się metalem — kwitnącem złoto złotem.

ODDECH

Niech skrzy się słońce. Złote wino światła
niechaj musuje w porankach majowych,
a gorzka słodycz wiośnianej świeżości
niech bije w nozdrza zapachem miętowym.

Podajcie twarze czułym dłoniom wichrów,
różanym oczy podajcie obłokom,
liljowym dalom ramiona tęskniące,
i odetchnijcie do dna płuc — głęboko.

Oto się dzieje, staje, dokonywa
przemian cudowna, tajemna alchemja!
przez płuca w żyły świat z szumem przepływa,
w każdej krwi kropli huczy groźnie ziemia.

Antoni Madej.

PAN SWEGO ŻYCIA

Uwagi niniejsze z racji debjutu pisarskiego Władysława Rymkiewicza czynione, nie roszczą sobie prawa do wyżyn tego osądu, na jakich stać winna istotna krytyka. Nie zajmuję się tu krytyką we właściwym sensie tego słowa, lecz z racji bardzo dobrego debjutu prozatorskiego pragnąłbym zwrócić uwagę szerokiego ogółu na młody, pięknie zapowiadający się talent p. W. Rymkiewicza. Pragnę tu życzvć młodemu autorowi bujnego rozwoju jego zalet, oraz wskazać po koleżeńsku wady, czy braki, które powinien i może wyrównać.

Sprawa właściwego rozwoju, czy wychowania talentu prozatorskiego jest tak zawiła, wymaga tylu żmudnych studjów, nakładu takiej wiedzy, cierpliwości, — w piśmiennictwie naszem tak mało jeszcze posiada wyrozumienia i przychylnych warunków. Talent prozatorski objawia się u nas tak rzadko, tak często w zaraniu swej działalności bywa spaczony, — że p. Rymkiewicz nie może dziwić się i chyba za złe mi nie weźmie, gdy mówiąc o pierwszorzędnych jego zaletach, niejakie miejsce poświęce też i wadom.

Mówiąc o zaletach nie poruszam najważniejszej,

ze wszystkich t. j. tak zwanego talentu. Sądzę, iż słowo talent, użyte w sensie oznaczenia jakości, nic przecie nie mówi, wyraża ono bowiem tylko w nieściśle określonej syntezie zbiór tych wszystkich koniecznych cech, które muszą się składać na prawo istnienia pisarza.

P. Władysław Rymkiewicz posiada cechy prozatorskie w stopniu wybitnym. Umie patrzeć na rzeczy własnemi oczami, umie podpatrzeć to, czego nie widzieli inni. Umie zdobycze swego sposobu patrzenia nazwać własnemi słowami. Umie te słowa własnych, oryginalnych określeń stłumić, czy dostosować, czy włonić w charakter osób, które wysunął na widownię opowiadania.

Rymkiewicz rozumie też plany i dyskrecję tej widowni. Rozróżnia trafnie w motywach głównych i pobocznych, oraz w samym ornamencie prozy. Rzecz nie łatwa, wymagająca znacznych wysiłków pamięci, intuicji, czujności i cierpliwości. Młody autor już w pierwszej swej książce umie być w opowiadaniach swych,— materjalnie jakgdyby nieobecnym, a za to czujnym, jednolitym, łącznym, — jako atmosfera, czy rytm, w których dane opowiadanie przebiega.

Rymkiewicz osiąga te, zaiste piękne wyniki dzięki umiejętnej, wytężonej, tak rzadkiej pośród młodych naszych prozatorów zalecie: — dzięki świadomej pracy.

Jest to gatunek pracy sumiennej, szlachetnej, sprawdzającej się pilnie w każdem zdaniu i obrazie, w każdym djalogu.

Na osiemnastu arkuszach tomu nowel Wł. Rymkiewicza nie można prawie doszukać się w toku opowiadań ani jednej zbędnej dygresji, ani jednego (zawsze niepotrzebnego) popisu oratorskiego, malarskiego, czy lirycznego Niema też tu, — w sensie kompozycji — ani jednego motywu, który nie byłby wprowadzony celowo, a którego szwów nie potrafiłby autor ukryć dyskretnie przed wzrokiem czytelnika.

Zalety powyższe świadczą więc nietylko o umiejętności pracy, lecz także o jej szlachetnej celowości. Rymkiewicz wie, że trzeba opowiadanie komponować, budować, że bez tej kompozycji — a tylko ułożone inercyjnie w czasie akcji — nie nabierze opowiadanie nigdy zwartości, nie „zamknie" się w kształcie celowej formy, nie stanie się więc nigdy dziełem sztuki.

Oto główne może zalety młodego pisarza.

Jakież są wady?

Ośmieliłbym się powiedzieć, iż za najkardynalniejszą wadę w prozie Rymkiewicza uważam jego lęk, strach, obawę przed problemem przedsięwziętego tematu. Rymkiewicz boi się konfliktów, które przeżyć mają jego ludzie.

Nie umie patrzeć do końca w głąb ludzkich serc?

Nie! Nie ma raczej odwagi spojrzeć w tę głąb. Dlatego wszystkie istotne, przełomowe konflikty odbywają się, — prawie bez wyjątku, — poza orbitą osób działających, niejako poza ich nawiasem, raczej dzięki osobom trzecim.

Być może, iż autor czuje, że nie podołałby jeszcze w sensie ekspresji i gotowości słowa, konfliktom bezpośrednio przeżywanym i rozstrzyganym przez główne osoby działające. Jeżeliby jednak tak miało być, to zawsze lepiej ponieść porażkę w słowie, rytmie, czy obrazie, niż dla uniknięcia takiej porażki zmieniać naturalny układ kompozycji.

Myślę tu o dwóch pierwszych nowelach tomu „Pan swego życia". W obydwóch mamy właśnie do czynienia z takim lękiem przed przedsięwziętą rozgrywką. Autor w obu tych nowelach, a zwłaszcza w pierwszej, — w obawie przed narastaniem wypadków, sam je uprzedza niejako. Zamiast, by pozwolił rozwijać się akcji opowiadania planowo od zalążków czynu, do czynów, od czynów do ich skutków, — autor, jakgdyby przerażony tokiem akcji, odwraca następstwo wypadków. Rozpoczyna od końca, od rozwiązania całej sprawy, stopniowo wracając ku jej początkom.

Metodę tę uważam za niedobrą. Patetyczna, końcowa scena przynosząca już rozwiązanie nieznanych przebiegów a zaczynająca u Rymkiewicza opowiadanie jest dla czytelnika niezrozumiałą. Użyte w niej natężenie uczucia, owijające się dokoła nieznanych jeszcze osób i niezrozumiałych rozstrzygnięć — uchodzi z pod wglądu czytelnika. Cały zaś tok narracyjny, snuty potem, od zakończenia ku początkowi, traci tempo, oraz proporcję planów, traci logiczne swe, rozwojowe następstwa.

Mówiłem tu o lęku Rymkiewicza w odniesieniu do wysuniętych przez autora spraw i konfliktów. Snując z tego zarzutu wnioski, zaryzykowałbym pewną radę: iż Rymkiewicz gwoli rozwoju swego talentu winienby przejść jakiś ciężki, forsowny trening energii, czy odwagi życiowej. Gdzie i jak? W polityce, w służbie społecznej, może nawet wojskowej — to już rzecz autora. Jeżeli treningu takiego nie przejdzie, — pozostanie może wyłącznie pisarzem ressentiment'u, krzywdy, która nienawidzi, lecz nie śmie się bronić.

Postawa taka może zemścić się na twórczości i technice pisarskiej, ograniczając je do dźwięków kameralnych.

Przykładem tego ressentimentu, takiej obawy, są ludzie i konflikty obu pierwszych nowel tomu. W pierwszej znajdujemy się pośród sfery urzędniczej, która jednak, mimo pracowitą charakterystykę autora, — wisi w próżni. Ci urzędnicy, dygnitarze, — są zaledwie wzorami pewnych tendencyj, czy spiętrzeń życia urzędniczego. Autor nie poszukał przyczyny tych spiętrzeń głębiej, nie osadził jej w środowisku społeczno - polityczno - państwowem.

Tymczasem — nie trzeba się było bać! Należało wyraźnie osądzić i ustawić te realja i w czasie i w przestrzeni.

W noweli drugiej rozgrywa Rymkiewicz konflikt t. zw. przezwyciężenia erotycznej przeszłości dwojga młodych. Ostatecznie prawda wychodzi na jaw, rozbija możliwość szczęścia choć z drugiej strony ów ideał niewinności nie został sumiennie zanalizowany w sercach obojga bohaterów. Nowela ta (Złote, Różowe, Czarne) z powodu tak specyficznego braku odwagi autora przy określeniu moralnych wartości rozbija się całkowicie i spada do poziomu anegdoty.

Bo przecież w życiu ludzkiem wszystko, co nie ma w sobie miąższu istotnych wartościowań ideału, wartościowań, opartych o powagę zbiorowości, — jest niczem więcej i niczem więcej się nie stanie, — jak tylko anegdotą!

Słowa te nie dźwięczą już metalem pochwały, — dyktuje je jednak właśnie to, co w pierwszej książce Rymkiewicza spostrzegłem z najgorętszą radością, — to jest ambitny wysiłek autora poparty istotnym talentem.

Juljusz Kaden-Bandrowski.

W ORBICIE PATOSU

II.

Wyspiański miał swoją, prywatnąby ją można nazwać, koncepcję twórczości: „tylko człowiek cierpiący może być zdolny do tworzenia czegoś". To znaczy, że afirmował własną naturę twórczą, nie próbował jej przerabiać, uważał ją za odpowiadającą wymaganiom, które teorja stawia twórczości, — i całą odpowiedzialność za swoje dzieło brał na siebie. W jednym z listów do Rydla (1897) pisze: „Widzisz, ja nie czytałem nigdy żadnej teeorji o dramacie, a ja może jestem najbardziej teoretyczny w tych pojęciach, a li tylko z mych wrażeń i po sobie sądzę". Dlatego nie chciał czytać komentatorów Szekspira i studjował, czytał, budował swego Hamleta wedle swoich linij, aż znalazł w Hamlecie — Wyspiańskiego. Ta „teoretyczność pojęć" wydawała się Wyspiańskiemu bardzo ważną cechą własnej twórczości. A jednak Brzozowski wogóle jej nie dostrzegł, uznał bowiem, że Wyspiański nie jest myślicielem, lecz poetą, twórcą obrazów i wzruszeń. Odprawę Brzozowskiemu dał Lack, dowodząc, że Brzozowski żądał od Wyspiańskiego „świadomego..., pewnego rodzaju filozoficznego myślicielstwa", „djalektyki filozoficznej", nie wnikając w „djalektykę dramatyczną", którą daje Wyspiański, „t. zn. sztukę". Brzozowski istotnie nie miał racji. Wyspiański, liryk, czy dramaturg był jednocześnie umysłem całkowicie świadomym nie swej sztuki, ale jej organicznej struktury, przebiegu jej tworzenia się. Był myślicielem na swój własny użytek, myślicielem pracującym w pewnym ściśle określonym materjale i operującym własnemi pojęciami, nie mającemi nic wspólnego ani z filozofją, ani z socjologją. Nie należy ich też naciągać do filozofji, a pozostawić sobie, łącząc je conajwyżej w „filozofję Wyspiańskiego", specjalną, charakterystyczną konstrukcję myślową, nie mającą obowiązującego, powszechnego znaczenia. Wyspiański — myśliciel kończy się wraz ze swoją sztuką. Poza nią nigdy nie wyszedł. Jego myślicielstwo miało charakter raczej praktyczny. Obrazem pragnęło uczyć. Linją to łącząca go bezpośrednio przez Matejkę z Sienkiewiczem. Dopping patrjotyczny. Czyż to nie myślicielstwo? Oczywiście nie takie, jakie miał na myśli Brzozowski, mierząc Wyspiańskiego miarą swych zainteresowań. Decyduje tu stosunek samego Wyspiańskiego do siebie. „...Albo się jest artystą bezwiednie i idzie się wciąż tą bezwiedną drogą, albo się to robi ze samowiedzą i postępuje się wciąż z tą samowiedzą, kontrolując swój każdy krok i ruch, swą każdą myśl. — W tym ostatnim razie wykształcenie i inteligencja (zawsze względna i zależna od stosunków) potrzebuje ogarnąć całą przeszłość cywilizacji, aby nareszcie znaleść dla siebie miejsce..."— pisze Wyspiański w jednym z listów do Karola Maszkowskiego Samowiedzę tę posiadał w najwyższym stopniu. Samowiedza nie znaczy to samo, co objektywna ocena wyników, krytyka, — jest ona tylko samokrytyką, wiedzą pewną siebie tylko na terenie przedmiotu tworzenia, nie sięga poza ten przedmiot, bo tam traci już orjentację.

W jednem miejscu swej książki o Wyspiańskim zauważa A. Grzymała-Siedlecki: „...większa część dramatów Wyspiańskiego sprawia wrażenie, jakby je tworzyła spółka: poeta liryczny i reżyser". Wydawałoby się, że to właśnie reżyser jest nosicielem tej samowiedzy, poeta zaś wybucha samym żywiołem nieopanowanej poezji. Że to reżyser „myśli", poeta zaś— „tworzy". Tymczasem podział ten jest przeprowadzony wedle innej zasady. Reżyser, jak to rozumie Siedlecki, uplastycznia tylko gest poety, uhieratycznia go, pracy myślowej natomiast dokonuje właśnie poeta — liryk. W dramatach Wyspiańskiego niema pustych miejsc, wszystko, każde zdanie jest dla niego pozycją myślową, zawsze, to prawda, stopioną ze słownym czy stylistycznym ornamentem. Nastrojowość tych dramatów, ich maeterlinck'izm, słynne powtarzania Wyspiańskiego, są tylko ornamentami myśli, a więc czemś wtórnem, niezasadniczem w jego twórczości. Mimo wszelkie pozory, mimo całe nieokiełznanie stylu Wyspiańskiego, mimo całą romantyczność faktury jego dramatów, główną ich cechą jest cerebralność. Inna już sprawa, jaka jest konsystencja i siężność tej myśli.

Wyspiański miał szczęście do swych krytyków. Poeta, uznany przez czytelników, jeden z najbardziej „wpływowych" pisarzy swego pokolenia, był równocześnie entuzjastycznie, co się u nas rzadko zdarza, przyjęty przez krytykę. Czem był Wyspiański dla swego pokolenia, dowodzi chociażby wspomniana książka Grzymały-Siedleckiego, apologja Wyspiańskiego artysty i człowieka. Charakterystyczne, że drugie wydanie swej książki Siedlecki opatruje wstępem krytycznym i szeregiem krytycznych przepisów, nieco temperujących pierwotny entuzjazm.

Pisano o Wyspiańskim wiele. Niemal wszyscy krytycy ulegali sugestji jego twórczości. Sugestja wyrażała się w tem, że nie zatrzymywali się na tem, co dawał sam Wyspiański, ale szli dalej, przedłużali jego myśli poza wyznaczone przez samego pisarza granice. Przedłużali myśl Wyspiańskiego w nieskończoność. Najbardziej typowym z pośród nich był Stanisław Lack. Zbiór jego artykułów o Wyspiańskim, wydanych w książce, przeraża poprostu namiętnością, z jaką Lack dokonywał tych przedłużeń. I chociaż Lack nie o jednym tylko Wyspiańskim pisał, możnaby powiedzieć, że został stworzony dla Wyspiańskiego i razem z nim umarł.

Gdyby brać dramaty Wyspiańskiego w interpetacji Lacka, zatraciłaby się w nich jedna, bardzo interesująca właściwość — stosunek do materiału twórczości. Dotyczy to przedewszystkiem dramatów homeryckich Problem jest następujący: jaka jest zależność Wyspiańskiego od Homera, a właściwie od Greków. Lack, który rozumiał Wyspiańskiego w jakichś absolutnych wymiarach, twierdził, że „dzieło Wyspiańskiego nic z Homerem nie ma wspólnego", po-

nieważ tajemnica sztuki w „Achilleis" np., ma swoje korzenie w duszy Wyspiańskiego, a nie Homera. Ale Lack był zupełnie pozbawiony żyłki filologicznej i nie interesował się „źródłami" i zależnością od nich Wyspiańskiego. Pracy tej dokonał Tadeusz Sinko w „Antyku Wyspiańskiego", często przesadzając w ustalaniu zależności, ale i niemniej często oświetlając je w sposób bardzo trafny. Zdaniem Sinki, Wyspiański „jest tak homeryczny, że publiczność, nie znając technicznych, mitologicznych, a zwlaszcza teologicznych i psychologicznych premis Homera i tragików greckich, nie może zrozumieć ani słów i działań osób na scenie, ani intencyj Wyspiańskiego". Istotnie, filologowi klasycznemu, któremi nawet jakiś całkiem indywidualny wariant klasycznego motywu będzie się zawsze kojarzyć z tłem tego motywu i na korzyść tego tła, — musi się wydawać, że bez znajomości dokładnej Greków, Wyspiańskiego — Homerydy niepodobna zrozumieć. Jest to pogląd równie przesadny, jak pogląd Lacka. Prawda, gdy chodzi o stosunek publiczności do tych dramatów, mieści się pośrodku. Skoro jednak chodzi o samego Wyspiańskiego, to rację ma raczej Sinko. Wyspiański miał w bardzo silnym stopniu rozwiniętą nietylko żyłkę archeologiczną, ale i pasję w tym kierunku. Naogół dostrzega się tę pasję tylko w archaizacji, grecyzowaniu dramatów Wyspiańskiego wtedy tylko, gdy Wyspiański sam pokazuje ją palcem („Skamander połyska, wiślaną świetląc się falą"), albo też w archaizacji ilustracyj do „Iljady", gdzie polszczenie występuje wyraźnie. (Najwięcej się unoszono nad pasem Achillesa — zachwyt, który stał się już niemal zwrotem potocznym: „z trzosów rzemiennych chłopa krakowskiego kroi Wyspiański rycerski kirys greckiemu Achillesowi w swoich ilustracjach do „Iljady"— pisał Siedlecki, wyraziciel opinji inteligencji. Tymczasem Sinko wykazał niedwuznacznie, że ów pas odpowiadał jaknajdokładniej archeologicznej prawdzie). Z analizy Sinki dowiadujemy się, że cała reżysersko-malarska strona dramatów greckich Wyspiańskiego była oparta już to na studjach archeologicznych, jużto na znajomości arcydzieł greckiej sztuki, znajomości, zaczerpniętej w muzeach. Strona koncepcyjna, dramatyczna jest jeszcze ściślej związana z grecką kulturą dramatopisarską. Wyspiański przejął się nią do tego stopnia, że stawał się bardziej ortodoksyjny w sprawach np. winy i kary od najbardziej prawomyślnych i ortodoksyjnych tragików greckich. Zarzuca mu to często Sinko.

Wyobraźnia Wyspiańskiego ma intensywny wybuchowy charakter. Zdawałoby się, że niemal wszystko w niej jest porywem, tak samo jak jest patosem. A przecież żaden może z pisarzy Młodej Polski nie trzymał się do tego stopnia rzeczywistości, przedmiotu, faktu, co Wyspiański.

Każdy z jego dramatów ma dokładnie określony rdzeń faktyczny Zawsze jednak, jak już mówiliśmy, patetyczny. Bez tego oparcia o coś zewnętrznego, pozawyobraźniowego, choć zapładniającego wyobraźnię, Wyspiański nie mógł tworzyć. Klasycznym przykładem twórczości tego typu jest „Wesele", kiedy konkretna sytuacja zostaje pchnięta w nadspodziewany wymiar, kiedy elementy niezbieżne, niestylowe, otrzymują naraz jedną poetycką wykładnię.

Patos i cerebralność to dwa zasadnicze przekroje twórczości Wyspiańskiego. W nich poznajemy go prawie całkowicie. Miał rację Lack, powiadając, że Wyspiański wystąpił odrazu jako gotowy, skonsolidowany twórca. Że odrazu wiedział, czego chce i czego potrafi zechcieć. Najlepszym tego dowodem fakt, że na samym początku swej twórczości poetyckiej ułożył plan zbiorowego wydania swoich dzieł, dzieł nienapisanych jeszcze! Stąd ta ogromna pewność ręki Wyspiańskiego. Wiedząc, czego chce, mając gotową, bogatą w szczegóły wizię całości, pisał z zadziwiającą szybkością. Studjum o Hamplecie zostało napisane w ciągu trzech dni. Formalny to wyraz tej samowiedzy, o której pisał Wyspiański, on, jedna z najbardziej oryginalnych indywidualności, jakie wydał najpłodniejszy bodaj w talenty okres polskiej literatury — Młoda Polska.

d. n. *Henryk Drzewiecki.*

FLIRT Z MELPOMENĄ

(Boy Żeleński: Flirt z Melpomeną. Wieczór 8-my. Warszawa 1929, F. Hoesick.).

Ósmy tom „Flirtu z Melpomeną" Boya posiada wszystkie typowe zalety i wady tej oryginalnej umysłowości. Jej główną cechą jest walka z fetyszyzmem autorytetu i nieomylnego kanonu. Wiele z jego sprawozdań teatralnych stanowi materjał dyskusyjny.

Boy umie w lekkiej, aforystycznej formie, językiem błyskotliwych paradoksów, dynamizować zagadnienia w kierunku wprost przeciwnym do obiegowych liczmanów myślowych. Jest to jednak taktyka niebezpieczna, wymagająca bezustannej czujności i napiętego krytycyzmu. Boyowi grozi na tej drodze maniera intelektualna. Jego obrona przestępstwa w którem dostrzega wzniosłe zalążki moralnych nawróceń, przemycona mimochodem, przygodnie w jednej z recenzyj 8-tomu „Flirtu z Melpomeną" należy do dziedziny niepokojąco bezpłodnej, pseudofilozoficznej sofistyki paradoksu, w której lubuje się tak chętnie psychologja tłumu, wrażliwego na wszelkiego rodzaju senzacyjność.

Nowy zbiór sprawozdań Boya razi bezkrytycznym stosunkiem autora do samego materjału literackiego. Była tu konieczna gruntowna selekcja. Nie wszystko bowiem ma prawo bytu w książce, o czem się pisze z obowiązku sprawozdawcy w dzienniku. Gdyby Boy przestrzegał tej zasady, jego wielotomowy „Flirt z Melpomeną" mógłby się stać wartościowym przyczynkiem do dziejów procesu narastania kultury teatralnej u nas, i w pewnej mierze pomocniczym przewodnikiem w olbrzymim splocie jej wielorakich odmian.

Niestety Boy, dziwnie nieczuły na kanoniczny poniekąd w krytyce probierz proporcyj — potraktował je z drażniącą nonszalancją. Chaotyczne pomieszanie repertuaru wielkiego dramatu z farsą często-gęsto drugorzędną zagraniczną i rodzimą, wielcy suwerenowie literatury dramatycznej w rodzaju Ibsena lub Wyspiańskiego obok przedstawicieli wątpliwej war-

tości efemeryd dramatycznych, np. p. Płonki-Fiszera i t. d., tworzą w rezultacie z nowej książki Boya magazyn teatralnych rozmaitości, w których trudno się dopatrzeć jakiegoś kierowniczego systemu wartościowania.

Sąd Boya załamuje się prawie zawsze w zetknięciu z irracjonalnym gatunkiem twórczości. Jest to dziedzina, zamknięta dla niego nieodwołalnie, niedostępna zresztą dla tego rodzaju umysłowości. Całkowity daltonizm etyczny krytyka powoduje, że wogóle wymiaru duchowego, w którym mieści się najwyższa hierarchja wartości, jak psychologja świętości i bohaterstwo samoofiary, nie rozumie. Dlatego to, co pisze Boy np. o „Księciu niezłomnym" Calderona lub „Królu Agisie" Słowackiego, jest zdumiewającym wyskokiem cudactwa, — zwłaszcza po znakomitej monografji Kleinera. „Ten święty ma coś z durnia" (str. 104) — brzmi inkwizytorska djagnoza krytyka. Czyżby naprawdę? Kabotynem byłby w takim razie każdy wielki ofiarnik, prometeida idei, święty.

Psychologja naukowa, badająca fenomeny t. zw. metapsychiki i mistycyzmu zajmuje stanowisko nieco odmienne. Niemniejszem cudactwem jest hipoteza Boya, (którą zachwycał się niedawno w szkicu p. t. „Problemat Boya" naiwnie J. E. Skiwski), tłumacząca rodowód wizjonerstwa Wyspiańskiego jego t. zw. „rusalnością".

„On (Wyspiański) jest rusalny — twierdzi Boy. — Stąd jego stosunek do roślin, do kwiatów, z któremi łączy go stosunek wyraźnie osobisty, (może jacy krewni?), stosunek do świata duchów, do świata tych wodnic i rusałek, to nie poetycki aparat, to rzeczywistość". (str. 140).

Logicznie biorąc oba te cudaczne, gatunkowo sprzeczne sądy, należą do przeciwległych biegunów. Dzieli je niestosunek postawy intelektualnej. Niewątpliwie rzeczywistość mistyczna pod mikroskopem zimnego, sceptycznego mózgu wygląda karykaturalnie. Ale brak niezbędnego dla krytyka reendgenizującej intuicji, która pozwala zwycięsko przedzierać się przez pokłady metafizycznej tajemnicy lub rozumieć bohaterską wielkość mistyczna — dyskwalifikuje zasadniczo do zabierania głosu w tych sprawach. Boy zastępuje ten brak rezonerstwem wojującego dyletantyzmu.

J. E. Płomieński.

POLONICA WŁOSKIE

Odczyty włoskie o Polsce.

W ostatnich tygodniach odbyło się kilka odczytów o Polsce w różnych miastach włoskich. Ruch ten rozpoczął się wielce interesującym odczytem: „La Polonia storica e l'Italia", wygłoszonym w Genui przez naszego konsula w Medjolanie, doktora Ottona Hubickiego.

W Genui, którą w dawnych czasach łączyły tak ścisłe stosunki handlowe z Polską powstało przed rokiem „Koło polsko - włoskie", założone z inicjatywy młodego ekonomisty genueńskiego, Pompeo Tommaso Pompei. Ten szczery entuzjasta kultury polskiej dąży do jak najściślejszego nawiązania stosunków ekonomicznych między Genuą a Polską i w tym celu zorganizował wspomniany „Convito italo - polacco di Adamo Mickiewicz" i raz poraz organizuje w tej „Genova superba" odczyty i uroczystości na cześć Polski. Obecnie zajmuje się zorganizowaniem wycieczki tamtejszej młodzieży szkół handlowych do Polski na Targi poznańskie.

W wygłoszonym odczycie konsul Hubicki przedstawił w skrócie rozwój historyczny Polski i jej dążności wolnościowe, uwieńczone po wysiłkach wojny światowej niezawisłością państwową pod przewodnictwem Marszałka Piłsudskiego. Drugą część odczytu poświęcił prelegent stosunkom handlowym i ekonomicznym między Polską a Włochami.

Odczyt urozmaicony przezroczami obudził znaczne zainteresowanie i znalazł oddźwięk w prasie genueńskiej, która poświęciła mu długie artykuły.

* * *

W pobliskim Turynie wygłosiła odczyt znana propagatorka literatury polskiej we Włoszech, Krystyna Agosti-Garosci. Tłumaczka Konopnickiej i Żeromskiego opowiedziała licznie zgromadzonym słuchaczom w „Socita pro cultura femminile" swoje wrażenia z pobytu w Polsce.

* * *

W Medjolanie odbył się w „Kole polskiem" odczyt Ofelji Nowak - Collauti o Marszałku Piłsudskim i o przyjaźni polsko - włoskiej.

* * *

Niezmiernie ciekawy odczyt wygłosił w Trjeście dziennikarz, Mario Nordio pod tytułem: „La rinascita economica della Polonia" („Odrodzenie ekonomiczne Polski"). Rektor Akademji handlowej, który zagaił zebranie, podkreślając w swem przemówieniu, nacechowanem wielką sympatją i przyjaźnią dla Polski, wysiłki Polski w ciągu dziesięciu ostatnich lat celem unormowania stosunków politycznych, ekonomicznych i finansowych.

Prelegent, Mario Nordio zaznaczył na wstępie wybitne stanowisko Polski na wschodzie Europy i trudy i zmagania się narodu w pierwszym okresie po uzyskaniu niepodległości. Obszernie zajął się p. Nordio naturalnemi bogactwami Polski i zdolnościami eksportowemi, kraju. Mówił o sytuacji obecnej, o ułożeniu się warunków życia po wypadkach majowych podkreślając, że stan ogólny jest zadawalniający.

Specjalny ustęp wyczerpującego i zajmującego odczytu poświęcono stosunkom handlowym między Polską a Trjestem. Obroty z siedemnastu miljonów lirów w złocie w roku 1922 wzrosły ostatnio do osiemdziesięciu miljonów. Z prawdziwą radością zaznacza prelegent zjawienie się w porcie trjestyńskim dwóch okrętów polskich.

Odczyt pana Nordio wywołał duże zainteresowanie i dzienniki miejscowe zamieściły obszerne sprawozdania.

Sieroszewski po włosku.

Jako drugi tom wydawnictwa turyńskiego „Il Genio slavo" wyszedł „Djabeł zamorski" Wacława Sieroszewskiego w przekładzie Janiny Gromskiej, znanej już z tłomaczenia Żeromskiego, Prusa i Sienkiewicza. „Il diavolo straniero" zdoła niewątpliwie zainteresować szersze kręgi czytelników i przyczyni się do spopularyzowania nazwiska autora „Miłości Samuraja", która ma też ukazać się wkrótce w przekładzie włoskim.

Od początku roku jest to już trzecia książka polska.

Jeśli pójdzie dalej w tem tempie, jest nadzieja, że włosi, mający wiele sympatji i przyjaźni dla Polski, poznają nas nareszcie dokładniej za pośrednictwem naszej literatury!

Jerzy Żuławski po włosku.

Nakładem firmy wydawniczej Carabbka w Lanciano, w której już kilkakrotnie ukazywały się utwory polskie, wyszedł obecnie, dawniej już przetłomaczony przez Stefanję Kalinowską dramat Żuławskiego: „Eros i Psyche“. Piękny ten utwór sceniczny zaopatrzył wstępem Enrico Damiani.

Byłoby wskazane, gdyby się postarano o wystawienie tego tak bardzo scenicznego utworu, któryby niewątpliwie mógł zainteresować publiczność włoską. Znana aktorka włoska Emma Gramatica objawiła przed kilku laty znaczne zainteresowanie tym czołowym utworem Żuławskiego.

Artykuły o Polsce.

W „Corriere Padano“ znajduje się ciekawy artykuł o Emilu Zegadłowiczu, nazwanym poetą mistycznym.

Autor czy autorka artykułu, ukrywający się pod inicjałami f. p. s. przypomniawszy króciutko rozwój liryki polskiej od wieków średnich i poezji łacińskiej zaznacza, że najwybitniejszym talentem poetyckim w Polsce współczesnej jest Emil Zegadłowicz, który osiąga najwyższe szczyty poezji. Z siłą dramatyczną poety połączony jest głęboki, miękki liryzm. Słowa pokrywają się z myślą. Zegadłowicz różni się wielce od wszystkich innych poetów doby powojennej. Autor podkreśla umiłowanie natury przez Zegadłowicza i subtelne a zarazem silne odczucie piękna. Artykuł jest pełen entuzjazmu dla autora „Lampki oliwnej“.

* * *

Ciekawy jest artykuł dziennikarza rzymskiego, Remo Renato Petitto, który od czasu pobytu w Polsce przed dwoma laty informuje często swoich ziomków o życiu kulturalnem i literackiem w Polsce.

W artykule z dnia 23-go marca w turyńskim „Il Nazionale“ zajmuje się Petitto trzema ostatniemi publikacjami włoskiemi dotyczącemi literatury polskiej.

Autor artykułu omawia rozprawę Damianiego o współczesnych prozaikach polskich; z utworów, które Damiani wybrał, aby dać próbkę twórczości każdego z omawianych pisarzy, autorowi artykułu podoba się najwięcej nowela Jerzego Kossowskiego, która tematem (front włoski) najbliższa jest każdemu włochowi. Obok Kossowskiego wyróżnia Petitto jeszcze Grabińskiego.

Drugim omawianym przez autora utworem jest „Miasto mojej matki“ Juljusza Kaden - Bandrowskiego, o którym Petitto powiada, że „wnika dokładnie w psychologję dziecka“.

Na trzeciem miejscu zajmuje się Petitto zbiorem nowel: Novellieri Polacchi“, które wydane staraniem Stelli Olgierd przez firmę wydawniczą „Alpes“ wzbudziły we Włoszech zainteresowanie głównie dzięki przedmowie Giovanni Papini'ego.

Petitto uchyla się od wypowiadania stanowczego sądu o owych pisarzach na podstawie tych drobnych próbek ich twórczości Specjalną uwagę zwraca jednak na Makuszyńskiego, który go najsilniej pociągnął.

Na końcu zajmującego artykułu podkreśla Petitto zasługi polonistów włoskich, którzy przyczynią się niezawodnie w wielkiej mierze do poznania we Włoszech kultury polskiej i do zaprzestania mieszania jej z kulturą i literaturą rosyjską, na co skarżą się słusznie Polacy — powiada Petitto — i z powodu czego doznają uczucia bolesnego, jakiego i doznawalibyśmy też my, gdybyśmy słyszeli, że cudzoziemiec miesza Rzym z Berlinem, tylko dlatego, że swego czasu niemcy władali nami politycznie“.

Fr. Szyfmanówna.

BIBLJOGRAFJA AD USUM PLEBIS

Miłą niezmiernie niespodziankę sprawił prenumeratorom swoim „Przegląd Księgarski“, tygodnik, organ Związku Księgarzy Polskich, załączając do nr. 14-go, zeszyt 1 - 2 „Przewodnika Bibljograficznego“, obejmującego na 24 stronach systematyczny wykaz książek polskich wydanych w bieżącym roku, w ilości kilkuset, a więc istotnie przegląd wszelkich nowalij w tej dziedzinie „dla wydawców, księgarzy, antykwarjuszy, jako też dla czytających i kupujących książki“.

Wyrazy, ujęte w cudzysłowach, wyjaśniające komu ma służyć nowe pismo, ogarniają wszak cały, bez wyjątku, plebs pospolity, składający tak czy owak, w postaci pieniędzy lub czasu tylko, ofiary rzetelne, tradycją lub intuicją podyktowane, najpiękniejszym ucieleśnieniom intelektów najwyższych i najczulszych — książkom, wyrazy te wraz z tajemniczą nieco symboliką cyfr tuż obok uwidocznioną: „Serja III R. V. 1929 (og. zb. r. LII)“, świadczą niezbicie o jakiejś niezniszczalnej kontynuacji, filjacji czy reinkarnacji rzeczy swojskiej, pracy zbożnej, nasycającej oddawna rzesze głodnych i jakże dalekiej od jakiegoś ekskluzywnego bibljografów obcowania.

Założony w r. 1878, wydawany przez Bibljotekę Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie, w ciągu lat pięćdziesięciu, odzwierciadlał miesięcznik pod tytułem „Przewodnika Bibljograficznego“ jak najwierniej poziom zmienny, falujący, rzadko w tym okresie dziejów naszych wezbrany, lecz i nigdy pozorem najmniejszym bezruchu nie obezwładniony, nurt i rytm rzeki „płynącej w krętą, prastarą, a wiecznie nową, daleką drogę“ (S. Żeromski). W pięćdziesięciu bez mała tomach skreśloną mamy benedyktyńską kronikę walk, porażek i zwycięstw na polu ducha Narodu, któremu za życia szykowano łaskawie i z Zachodu i ze Wschodu udział w wyborze własnego zgonu w morzu słowiańskiem lub w kleszczach germańskich.

Byłoby rzeczą niezmiernie ciekawą ustalić, jak w owym okresie ten dorobek bibljograficzny był w oczach obcych, słowian przedewszystkiem, świadectwem, metryką, dowodem najjaskrawszym sił potencjalnych narodu ujarzmionego, skupionych przy jednym bodaj warsztacie: twórczości literackiej i naukowej w mowie własnej, objawiającej się chwilami daleko poza ojczyzną geograficzną — książkami Sienkiewicza i Przybyszewskiego, odkryciami radu i skroplonego powietrza, a w dziedzinie sztuki grą Paderewskiego, witrażami Mehoffera, mostami Modrzejowskiego. W kraju zaś samym pełnił służbę bibljografji narodowej i państwowej, ten „Przewodnik Bibljograficzny“, to już wystarczy, a wypadało bodaj tak najpobieżniej wyjaśnić, jaką chlubną przeszłość ukrywa formułka: Serja III R. V. 1929 (og. Zb. r. LII).

Skoro mowa o bibljografji państwowej niejeden czytelnik uważny przypomni sobie, że coś w tym sensie już się drukuje i rozpowszechnia u nas. Pisał o tem obszernie w „Głosie Prawdy“ T. Sterzyński p. t. „Bibljografja państwowa i narodowa“ (w nr. 288 z dn. 10 marca b. r.), oceniając „Urzędowy Wykaz

Druków" wydawany od r. 1928 przez Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Czyżby w tym wypadku obserwować mieliśmy częste u nas, niestety, zjawisko wykonywania jednej i tej samej — z nieznacznemi odchyleniami — pracy przez dwie instytucje, współzawodniczące w braku siły wyższej, którąby ich zmusiła do współpracy? Odrazu więc zastrzec się musimy, że w danym wypadku tak źle nie jest, przeciwnie nawet — tak jest dobrze.

Urzędowa, państwowa rejestracja druków poczuła się u nas powołaną i nawet obowiązaną do ogłaszania wyników tej rejestracji w postaci perjodycznych bibljograficznych wykazów, odpowiadających najwybredniejszym wymaganiom bibljofilskiej drobiazgowości. Nie możemy tu wdawać się w szczegółowe uzasadnienie tezy, że bibljografja podobna, oddając niezaprzeczone usługi kilku wielkim bibljotekom państwowym, oraz przyczyniając się do wytworzenia zagranicą, w środowisku zawodowych bibljografów i bibljotekarzy, jak najlepszej opinji o naszym w tej dziedzinie dorobku, dla najżywotniejszych potrzeb w kraju jest sui generis wieżą z kości słoniowej. Krótko i węzłowato „dla wydawców, księgarzy, antykwarjuszy, jako też dla czytających i kupujących książki", to jest dla całego narodu lektorów i lektorek, dosłownie dla plebsu czytelników, potrzebna jest raczej bibljografja lakoniczna, a nie rozwlekła w każdym pojedyńczym tytule, uporządkowana systematycznie, przedmiotowo, „realnie", biorąc to w sensie pochodnym od terminu „katolog realny" i dostępna — budżetowo. („Przewodnik Bibljograficzny" kosztował niegdyś 36 zł. rocznie, obecnie prenumerata jego roczna wynosi 6 zł. zaledwie).

Dawny „Przewodnik Bibljograficzny" w mniejszym stopniu uwzględniał potrzeby i słuszne wymagania najszerszych kół czytelników. Z chwilą przejęcia przez Państwo całego ciężaru i wyłącznej odpowiedzialności za kwitowanie z odbioru dziesięciu egzemplarzy obowiązkowych w postaci druku idealnego tekstu kartki bibljograficznej danego dzieła, broszury czy jednostronnej ulotki, przed nową serją „Przewodnika Bibljograficznego" — racjonalnie uszczuplona — powstaje doniosłe zadanie propagandy wśród swoich książek własnych, najnowszych, z literaturą piękną na czele, skoro ta właśnie literatura zajmuje jedną czwartą objętości całego zeszytu „Przewodnika Bibljograficznego".

Dotychczasowe próby księgarsko - zawodowe sprezentowania czytającej publiczności katalogów „bibljograficznych" były dość niefortunne. Za wyjątkiem jednej — zbiorowego katalogu opracowanego pod redakcją dr. J. Muszkowskiego. Otóż właśnie katalog ten i metodycznie opracowany, i praktycznie przystosowany dla plebsu czytających przedewszystkiem, nie doczekał się właściwej kontynuacji. W prostocie swej i przejrzystości okazał się widocznie za „mądry", parę lat temu. Obecnie jesteśmy świadkami nowej próby współpracy księgarsko - bibljograficznej, gdyż redaktorem odmłodzonego „Przewodnika" jest wytrawny i doświadczony sternik dawnego — dr. Wł. T. Wisłocki. Wydawca — w Warszawie, redaktor — we Lwowie, może to i lepiej? Dowiemy się w Poznaniu, gdzie dystans zmniejszy się, ale pozostanie, bo księgarze będą na Wystawie, a my bibljotekarze po Wystawie spacerować będziemy tylko i to bardzo krótko.

Najważniejszą rzeczą w tej bibljografji narodowej jest ruch właśnie. Nie kolejowy, i nie kołowy, a kartkowy: układanie jednych i tych samych kartek, jeden raz w porządku alfabebtycznym, drugi raz w porządku przedmiotowym. Od tego bierze początek —smukła linja, która wtargnęła się nakoniec i do bibljografji.

Non scholae, sed vitae — w szkole już oddawna jest i komunałem, i manierą na swój sposób nieznośną. Obszary bibljografji są olbrzymie, ale najbliższe tereny graniczą i z wyższą szkołą, i ze średnią. Trzymając się zbyt wyłącznie tych terenów tylko, łatwo jest niezmiernie pokusić się o stworzenie sztucznego języka przy pomocy kart tytułowych. Język ten jest łaciną bibljofilów, ale umiejętność posługiwania się językiem, niezrozumiałym dla zwykłych śmiertelników, jest atrybutem uczoności bardzo względnym. Linja smukła jest w tym wypadku bezwzględna. Zarysowanie się jej na horyzoncie bibljografji polskiej jest zwiastunem wyzwalania się energii, chwytającej się wysiłków celowych, skoordynowanych, użytecznych, wymierzonych na miarę potrzeb dzisiejszych ludzi wszystkich, to jest każdego.

Zdaje się, że dwutorowość bibljografji polskiej, „idealnej" w „Wykazie", „realnej" w Przewodniku, może zaspokoić każdą potrzebę, idealną czy realną, a więc w sumie — służyć istotnie wszystkim.

K. Zieleniewski.

KRONIKA ZAGRANICZNA

Nowy teatr w Paryżu.

Przy Place Saint - George w Paryżu powstał nowy teatrzyk literacki w rodzaju Grand Guignolu. Obok sztuk, pełnych strachów i okropności mają też być wystawiane lekkie, wesołe farsy.

Mimo czterdziestu teatrów, jakie posiada Paryż, oczekiwano z wielkiem zainteresowaniem inauguracji nowego przybytku sztuki, która odbyła się w obecności całego świata artystycznego i literackiego Paryża. Zaciekawienie nowym teatrzykiem jest tem zrozumialsze, że autorzy, którzy dostarczają jednoaktówek dla nowej placówki to najwybitniejsi obecnie pisarze paryscy: Jules Romains, Duvernois, Bernard Zimmer, których sztuki wybrano na inaugurację.

„Karol i Anna" Franka w Paryżu.

Leonhard Frank, którego sztuka „Karol i Anna" obeszła w bieżącym sezonie wszystkie niemal sceny niemieckie, może się poszczycić tem wyjątkowem szczęściem, że jego sztuka została obecnie wystawiona w Paryżu w teatrze Avenue pod kierownictwem Gustawa Osaty. Obecnego na premjerze autora przyjmowano owacyjnie, wywołując go kilkakrotnie, wbrew panującym zwyczajom. Penklub wydał bankiet na cześć niemieckiego gościa.

Czeska sztuka w Wiedniu.

W wiedeńskim Carlteatrze wystawiono komedję „Grand Hotel Nevada" Franciszka Langera, autora „Przedmieścia".

Zajmującą sztukę autora „Łatwiej przejść wielbłądowi", którą też zna Warszawa, przyjęła prasa życzliwie.

Następca Franza Stucka w Akademji monachijskiej.

W miejsce zmarłego niedawno Franza von Stucka mianowano profesorem Akademji sztuk pięknych w Monachium Olafa Gulbransson'a.

Nagroda literacka.

Firma wydawnicza Diederichsa w Jenie rozpisała konkurs na powieść. Nagroda w sumie dziesięciu tysięcy marek będzie przyznana za najlepszą powieść.

17 miljonów dolarów na Muzeum.

Miejskie Muzeum w New - Yorku otrzymało zapis od zmarłego jeszcze w roku 1925 wydawcy Franka Munse na siedemnaście miljonów dolarów. Wiadomość ta dostała się dopiero obecnie do prasy.

Skandal w teatrze w Kolonji.

W Kolonji w czasie przedstawienia sztuki Waltera Ilgesa: „Die Lanterne" doszło do niebywałego skandalu. W sztuce jest bowiem pod postacią Napoleona apoteoza dyktatury. Zaraz po pierwszym akcie odezwały się ostre protesty ze strony czynników radykalnych, z galerji rzucano nawet odezwy komunistyczne i gazety. Interwencja policji nie pomogła i musiano wobec nieustających hałasów przerwać sztukę, nie dograwszy jej do końca. Sztukę usunięto z repertuaru.

Jakób Wassermann.

„Jakób Wassermann. Weg und Werk des Dichters", oto tytuł świeżo wydanej monorafji o Wassermannie! Autor tego dzieła, Siegmund Bing po krótkim życiorysie autora „Fall Maurizius" przedstawia duchową ewolucję Wassermanna, analizując poszczególne dzieła od wydanej w roku 1897, pierwszej książki: „Die Juden von Zirndorf". Książka Binga jest zdaniem sprawozdawcy „Berliner Tageblatt" godną oceną pracy i zasług cenionego pisarza.

„Elisa Radziwill".

Nakładem Waltera Hadecke w Stuttgardzie wyszła powieść Leona Hirscha: „Elisa Radziwill", w której autor, po sumiennych studjach historycznych nad epoką, opisuje w nader zajmujący sposób dzieje miłości Wilhelma I do Elizy Radziwiłł. Z przyczyn konwenansu dworskiego nie mógł królewicz pruski pojąć za żonę ukochanej kobiety. Obok postaci Wilhelma kreśli autor szczegółowo rodzinę Radziwiłłów, jak również dwór carski i Weimarski.

ODPOWIEDZI

Dym. Powiat Wieluński: Cenimy pańską cierpliwość, niech Pan przeto raczy nas wysłuchać: To, że ta dziewczyna była ładna i ostatecznie przytrafiło się jej t. zw. nieszczęście i że stary Grzyb dopuścił do tego pożaru — to jeszcze wszystko razem nie jest nawet tematem do noweli, jeżeli nie wie Pan, jak się nowelę robi. Nowelę trzeba napisać. Żeby napisać trzeba dobrze treść ułożyć. Potem trzeba, żeby ta treść chciała zająć czytelnika. W tym celu pisarz opowiada tę treść tak, iż czytelnikowi zdaje się, że treść tę może przeżyć, że ją przeżywa, że staje się niejako sam przedmiotem opowiadania. Trzeba to umieć zrobić. Tymczasem Pan po kronikarsku z wątpliwem współczuciem opowiada koleje tych Grzybów. Nie ma to jeszcze nic wspólnego ze sztuką pisarską, tak samo zresztą, jak licha fotografja nie ma nic wspólnego ze sztuką malarską.

M. D. Zelów: Absolutnie nie pisać wierszy. Nie zajmować się poezją, nie ma Pani do tego żadnych uzdolnień. Zaręczamy z całym spokojem i czystem sumieniem, — że żadnych, żadnych, — żadnych uzdolnień.

A. R. Wiersz pański przestudjowaliśmy uważnie: Nie spostrzegamy u Pana nieumiejętności, czy braku techniki, lecz zasadniczy brak wyobraźni, fantazji, odczucia rzeczy poetyckiego. Na to niema żadnej rady: Rodzi się ktoś, kto ma słuch, no i ma słuch. Drugi nie ma. Jeden świetnie strzela, drugi pisze wiersze. Co do pana, — może Pan dobrze strzela, wierszy nigdy dobrych pisać Pan nie będzie.

Stefan P. Lwów: „Butelka wina" nie posiada wartości istotnej. Podtrzymuje Pan to opowiadanie wszystkiemi sposobami forsownych przymiotników, ale wszystkie przymiotniki całej mowy polskiej nie utrzymają opowiadania, w którem nie ma istotnego wątku i w którem z trzech działających osób jedna tylko jest mniej więcej żywa, pozostałe zaś są papierowemi figurami. Niechże Pan na początek zbuduje jakieś porządne, normalne, logicznie w czasie i w akcji rozwijające się opowiadanie. Nie monolog głównego bohatera. Opowiadanie. Polecamy, jako lekturę małe nowele Maupassanta.

A. A. O tych Chinach to było już we wszystkich dziennikach świata. Czy z tego powodu odmówił Pan sobie chociażby jednej bułki na śniadanie? Fakt pańskiego współczucia wyrażony niezdarnie, retorycznie, nie tylko nie pomaga Chińczykom, lecz szkodzi im. Na terenie sztuki pisarskiej zjawisko takie, podane tak właśnie przez Pana, budzi tylko refleksję: A niech djabli biorą tych chińczyków, jeżeli tak kiepsko można o nich pisać. A tak, — niestety, — tak.

E. A. Mierzyce: Sam Pan pisze, — wierszyki Pana również odsyłamy do wiersza Tuwima, drukowanego w numerze Głosu Prawdy, poświęconym Panu Marszałkowi w dniu Jego imienin.

Raw. Bielsk Podlaski: No więc chwała Bogu, — drukują Pana w gazetach. Czegóż zatem żąda Pan od nas? My nie będziemy drukowali. I żeby Pana drukował sam sułtan turecki, Rotszyld, Rockefeller czy Akademja literatury, szwedzka, włoska, francuska, niemiecka, — opierając się na nadesłanym materjale twierdzić będziemy, iż wiersze pańskie są słabe, bardzo banalne, nacechowane nieistotnym fałszywym patosem.

S. B. Starzy i Młodzi, — owszem to wszystko prawda, ale prawda wiele już razy o wiele lepiej ujęta i powiedziana i napisana, z których to powodów artykuł pański nie nadaje się do druku.

M. Pop. W-wa: Niema sensu, bombast, ceremonja, — serca w tem niema a tylko czcza gadanina!

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY: *TADEUSZ HIZ*

Drukarnia Artystyczna, N.-Świat 47. Przesyłka pocztowa opłacona ryczałtem.